

Kochanowo i okolice

Przemysław Jurek

Przemysław Jurek
ul. Manganowa 7A/2
53-441, Wrocław
tel. 695 11 81 81
e-mail: przemjurek@wp.pl

26/9

SCENA I

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Scena pogrążona w mroku. Po chwili cisza, słychać skrzypienie drzwi, ktoś szybko przemieszcza przedmioty. Nagle rozlega się przerywany dźwięk syntezatora na podłogę uderza od perkusji.

GRĘGŚ Z CIEMNOŚCI:

Niech to słońce!!!

Przez moment słychać nerwowe brzdęknięcie. Po chwili cisza i wyciśnięcie drzwi. Słychać podgryzanie. Po chwili następuje rozległy śmiech.

OSOBY:

Zespół Exterminator w składzie:

MARCYŚ – gitara, wokal

MAKAR – gitara basowa

JAROMIR – perkusja

LIZZY – gitara

Pozostali:

MAGDA

MARCYŚ-JUNIOR

DZIENNIKARKA

WÓJT

Rzecz dzieje się w trzech głównych lokacjach: w sali prób Kochanowskiego Domu Kultury (i w znacznej mierze właśnie tam), w mieszkaniu Marcycia z lat 80-tych i w jego mieszkaniu współczesnym. Jedna scena rozgrywa się w gabinecie wójta.

Biorąc pod uwagę spajającą wszystkie wydarzenia monologową narrację głównego bohatera, cała akcja może dziać się po prostu w sali prób zespołu Exterminator, od początku historii aż do jej końca, a wszystkie „pozasalowe” wnętrza mogą być potraktowane symbolicznie i w najwyższym stopniu umownie.

SCENA 1

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Scena pogrążona w mroku. Po chwili ciszy słychać skrzypienie drzwi, kroki i odgłos przesuwanych przedmiotów. Nagle rozlega się przeszywający dźwięk spadającego na podłogę talerza od perkusji.

GŁOS Z CIEMNOŚCI:

Niech to szlag!!!

Przez moment słychać nerwową krzątaninę. Postać sapie z wysiłku i klnie półgębkiem. Po chwili następuje rozjaśnienie. Na scenie jest już Marcyś.

MARCYŚ:

Kurde, jaki tu burdel!

Marcyś zaczyna się krzątać po scenie, klnie pod nosem, wywala do kosza pełną popielniczkę, zbiera puste butelki po piwie itd. Wreszcie odwraca się w kierunku publiczności. Podchodzi na skraj proscenium. Światła przygasają. Marcyś jest teraz oświetlany przez jeden punktowy reflektor.

MARCYŚ:

Wiecie, co to jest death metal?

(po pauzie, z kpinką)

Się naczytaliście o Nergalu, to myślicie, że wiecie. A „The Return Of The Northern Moon” znacie? Drugą demówkę Behemotha? Były czasy, Adam się fotografował w lesie, w ćwiekach i z mieczem, a nie w telewizji z Kayah i Dąbrowską. Minęło parę lat i wszystko w piach. W Piasek w zasadzie. Szkoda gadać.

(pauza)

Ale dobra, mniejsza o to. Krótko mówiąc: jest heavy metal, jest power metal, jest thrash metal, jest black metal i jest death metal... Jak by to wam, kurcze, wytłumaczyć?

(pauza)

Nieważne. Przyjdzie czas, to posłuchacie.

(pauza)

No i w tym death metalu jest tak, że każda porządna kapela ma swoje zasady. My też mieliśmy. O kompromisach nie mogło być mowy. Sęk w tym, że nikt nigdy nie proponował nam żadnego kompromisu. Ale w końcu się doczekaliśmy. Oczywiście – za całe zamieszanie jak zwykle odpowiadał nasz ukochany przyjaciel Makar. Jedyny basista w okolicy, który potrafił za nami nadażyć. Oczywiście pod warunkiem, że wcześniej zdążył na próbę. Czekanie na Makara było naszym piątkowym rytuałem. Myślicie, że metalowcy odprawiają czarne msze? No to się naczytaliście „Super Expressu”. Nam wystarczyły grupowe seanse bezsilnej nienawiści wobec naszego kolegi.

(Marcyś na moment znika w ciemności; wraca z przewieszoną przez ramię gitarą elektryczną)

W tamten piątek, pod koniec kwietnia, wyglądało to akurat tak...

SCENA 2

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Marcyś w milczeniu stroi gitarę, za bębnami siedzi wyraźnie zdenerwowany Jaromir, Lizzy manipuluje przy swoim wzmacniaczu.

Za zestawem perkusyjnym wisi wypłowiała płachta z logo zespołu Exterminator. Sprzęt nagłaśniający wygląda na sfatygowany.

Atmosfera napiętego oczekiwania.

JAROMIR:

Czekam jeszcze pięć minut i idę do domu.

LIZZY:

A co ci się tak śpieszy, Jaro, co?

JAROMIR:

W telewizji powtarzają „Sześć stóp pod ziemią”.

LIZZY:

A czegoś normalnego nie mógłbyś oglądać? Jak normalni ludzie? „Shameless” choćby? Albo tej, no, „Gry o tron” na przykład?

JAROMIR:

Mógłbym, Lizzy. Ale nie chcę.

LIZZY:

No to jak już oglądasz serial o zakładzie pogrzebowym, to weź się chociaż zainspiruj. Tekst jakiś napisz...

JAROMIR:

Najpierw musielibyśmy wymyślić jakiś nowy kawałek.

LIZZY:

Tak? Ale lepiej siedzieć i narzekać, nie? Najlepiej na Makara.

JAROMIR:

Czeka człowiek cały tydzień na ten piątek, żeby się odstresować, a ta menda jak zwykle ma to wszystko w dupie.

LIZZY:

Stres bibliotekarza. Niesamowite.

JAROMIR:

Wiesz, po ile teraz chodzi euro?

LIZZY:

Cztery trzydzieści osiem.

JAROMIR:

Piękny mi kredyt wcisnąłeś.

LIZZY:

Trzeba było nie brać.

JAROMIR:

No zaraz szlag mnie trafi normalnie...

Marcys daje znak kolegom, żeby byli cicho. Lizzy i Jaromir milkną.

MARCYS (do publiczności):

Fanie, nie? No cóż, właśnie tak z reguły wyglądały piątkowe próby naszej kapeli. Oto skład marzeń (wskazuje na pogrążonego w dyskusji Jaromira): Jaromir, szybki jak błyskawica perkusista i tekściarz naszej kapeli, prywatnie mąż i ojciec oraz pracownik

Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kłodzku, oraz Lizzy, wirtuoz gitary, nieślubne dziecko Vaia i Satrianiego, prywatnie pracownik banku, czyli koleś w permanentnym kryzysie psycho-finansowym. No i ja. Ale o mnie jeszcze będzie.

(pauza)

Ale nazwa kapeli niezła, nie? Exterminator... Jaromir co prawda chciał, żebyśmy się nazwali jakoś oryginalniej, Ropień, Zgorzel albo chociaż Ścierwo, ale Lizzy uznał, że z takim szyldem nie mamy szans na rynkach zachodnich i w końcu stanęło na neutralnym Exterminatorze.

(w stronę kolegów)

Nie, no, Lizzy, bierz bas. Zagrajmy cokolwiek, bo szkoda czasu.

Muzycy niechętnie sięgają po instrumenty. W chwili, kiedy już mają rozpocząć grę, na scenę wpada zdyszany Makar.

MAKAR:

Chłopaki, sorry za spóźnienie! Ale mam rewelacyjną wiadomość!!!
(wskazując Marcysia) I dla ciebie, i dla kapeli. Normalnie – rewelka!

Zdziwiony Marcys odklada gitarę.

MARCYS:

Wiadomość? Jaka?

JAROMIR:

Gdzieś ty był, człowieku, co?

LIZZY:

Czekamy prawie godzinę. Jaro już miał się związać do domu. Wiesz, on ma kredyt na 60 tysięcy i jest w potwornym stresie...

JAROMIR:

Zamknij się.

MAKAR:

No to by pożałował, gdyby poszedł, bo mam takiego newsa, że... A spóźniłem się, bo musiałem jeszcze parę spraw dopiąć, wykonać kilka telefonów i...

MARCYŚ:

Co ty bredzisz, Makar?

JAROMIR:

Człowieku, zdecyduj się. Albo z nami grasz, albo...

LIZZY:

Albo rozpoczynasz karierę solową.

MAKAR:

Dacie mi w końcu coś powiedzieć?

MARCYŚ:

Dobra, panowie, niech mówi. *(do Makara)* Mów.

MAKAR:

No więc to było tak: jakieś dwa tygodnie temu, w sobotę, stoję sobie w sklepie, poszedłem do spożywczaka po bułki, a tu nagle wchodzi wójt. I taki cały dumny zaczyna opowiadać sklepowej, że w Kochanowie będą w tym roku powiatowe dożynki, że on to wszystko załatwił i że...

JAROMIR:

O w mordę, znowu ma słowotok.

MAKAR:

... i że na te dożynki... A normalnie wiecie, jaki będzie wypas? Wójt opowiadał, że...

MARCYŚ:

Znowu się zjarałeś? Powiesz w końcu, o co chodzi, czy nie?

MAKAR:

No właśnie mówię. Na tych dożynkach wystąpi pewna bardzo znana kapela...

JAROMIR:

O masz, poważna sprawa.

MAKAR:

Ni kpij, Jaro. Zgadnij jaka.

JAROMIR:

Nie mam pojęcia. Bajm?

MAKAR:

Nie.

JAROMIR:

Feel?

MAKAR:

Nie. Oni istnieją jeszcze?

MARCYŚ:

Jezu, Makar, o co ci chodzi? Mamy próbę, ty oczywiście się spóźniasz...

MAKAR:

To twoja ulubiona kapela, Marcyś.

MARCYŚ:

Morbid Angel?

MAKAR:

O Jezu...

MARCYŚ:

Cannibal Corpse?

MAKAR:

Nie, durniu. Kombi!!!

MARCYŚ (*prychając pogardliwie*):

Kombi?

MAKAR:

A co, nie cieszysz się?

MARCYŚ:

Makar, to nie jest żadne Kombi. Kombi to było kiedyś, teraz to jest marna podróba.

MAKAR:

Jak – podróba?

MARCYŚ:

Nie ma z nimi Łosowskiego.

MAKAR:

Kogo?

MARCYŚ:

Łosowskiego. Łysego od klawiszy.

MAKAR:

Aha. Taaak?... Nie wiedziałem... (*do reszty zespołu*) Wiedzieliście?

Muzycy wzruszają ramionami.

JAROMIR:

Jakoś się nie przyglądałem...

LIZZY:

Ja tam kojarzę głównie Skawińskiego...

MAKAR:

Kurde, myślałem, że się ucieszysz. Dożynki wypadają dokładnie w twoje urodziny.

MARCYŚ:

Chyba wolę inny prezent, wiesz?

MAKAR:

To szkoda, bo...

MARCYŚ:

Bo co?

MAKAR:

Bo... no, mówiłem, że to dobra wiadomość i dla ciebie, i dla kapeli...

JAROMIR:

Już się boję...

MARCYŚ:

Makar, gadaj! Coś ty, baranie, wymyślił?

MAKAR:

Hm... No, bo... Bo... jeszcze tam w sklepie zagadałem z wójtem, potem przypilnowałem sprawy w urzędzie i udało mi się wkręcić nas na support przed Kombi.

Jaromir i Lizzy wybuchają śmiechem.

MARCYŚ:

Co???

MAKAR:

No, zagramy przed Kombi.

MARCYŚ:

Żartujesz, no nie?

MAKAR:

Nie żartuję.

MARCYŚ:

Nie wierzę normalnie. Ty musisz tyle tej trawy palić? A wy co tak rżycie jak durnie?

JAROMIR:

Jednak dobrze, że nie poszedłem do domu. Na ciebie, Makar, zawsze warto zaczekać.

MAKAR:

Kurde, byłem pewien, że...

MARCYŚ:

Doceniam wysiłek, gratuluję nowego dilera, ale będziesz to musiał odkręcić.

MAKAR:

Nie da się.

MARCYŚ:

Jak: nie da się?

MAKAR:

Nie da się, bo wójt w międzyczasie pociągnął za parę sznurków, skontaktował się z menagementem Kombi i sprawa jest już przyklepana. To za daleko zaszło i nie możemy się wycofać.

MARCYŚ:

O Matko Boska.

MAKAR:

Nie możemy się wycofać i lepiej, żebyśmy chwilowo nie podpadali wójtowi, bo jest jeszcze jedna sprawa...

MARCYŚ:

Jeszcze jedna?

SCENA 3

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Jak w scenie otwierającej – punktowy reflektor oświetla tylko Marcysia, reszta sceny pozostaje w mroku.

MARCYŚ (do publiczności):

Tu należy się wyjaśnienie. Po pierwsze: Makar. Koleś, który całe życie albo się objął, albo pracował na czarno w tartaku. To cud, że mu jak dotąd nic nie obcięło, bo do pracy zawsze chodził zjarany. On cały czas jest zjarany. A studia kończył razem z nami. Mówiłem, wszystko tylko nie kulturoznawstwo. Idź na bibliotekoznawstwo jak my, wtedy świat stanie przed tobą otworem. Ale się uparł. Kochałem tego gościa, tak jak i resztę chłopaków, ale jedno nie ulegało wątpliwości – Makar był pierdolnięty.

(pauza)

Po drugie: Kombi.
(pauza, głębokie westchnienie)
Pamiętam tamten dzień, jakby to było wczoraj...

SCENA 4

Mieszkanie Marcysia z lat 80-tych

*Umownie typowy pokój „stołowy” z połowy lat 80. Na podłodze kuca chłopiec w wieku ok. 9 lat (Marcyś-Junior) i czyta komiks „Kajko i Kokosz”.
Scenie z czułością przygląda się Marcyś, czyli – na tę okazję – Marcyś-Senior.*

MARCYŚ-SENIOR (wskazując chłopca):
To ja. Jest rok 1984. Rodziców akurat nie było, bo oboje mieli drugą zmianę w pracy, na dworze lało, nie mogłem wyjść na boisko, więc czytałem „Kajka i Kokosza”.
Mieliśmy jeden „Festiwal czarownic” na całą naszą czwórkę... Czytałem ten zeszyt chyba po raz piętnasty z rzędu, w tle chodził telewizor, właśnie zaczęły się „Przeboje Dwójki”, i wtedy właśnie usłyszałem to...

Z offu idzie „Nie ma zysku”.

MARCYŚ-SENIOR:
O, właśnie załapałem.

Chłopiec wręcz kamienieje z wrażenia. Malec siedzi nieruchomo jak głaz i wytrzeszcza oczy w zachwycie.

Stopniowe zaciemnienie.

SCENA 5

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Rozjaśnienie – sytuacja jak w scenie otwierającej.

MARCYŚ (do publiczności, uroczyście):
To był moment iluminacji. Stałem się fanem Kombi.
(pauza)

I niestety zostało mi tak do dziś. Mam wszystkie płyty, wszystkie single, wszystkie plakaty, byłem członkiem dwóch fanclubów jednocześnie, a kiedy kapela w 1992 roku się rozpadła, przez całe lata miałem nadzieję, że się jeszcze kiedyś zejdą. No, ale kiedy doszło do tej haniebnej reaktywacji...

(pauza)

Sami wiecie, dzisiejsze Kombii to nie jest to samo Kombi co kiedyś. To po prostu czysta uzurpacja. Jest Skawa, jest Tkaczyk, ale nie ma Łosowskiego, więc i nie ma o czym gadać. Wszyscy to wiedzą, ale ten kretyn Makar – nie.

SCENA 6

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Powrót do sytuacji ze SCENY 2.

MARCYŚ (*do Makara*):
Gadaj. Co jeszcze wymyśliłeś?

JAROMIR:
No, no... Robi się coraz ciekawiej...

LIZZY:
Kurde, Marcyś, weź go tylko nie wyrzucaj z kapeli... Nie będzie z kim grać, a ja do roli basisty na pewno zredukować się nie dam, nie ma mowy.

MARCYŚ (*do Makara*):
Gadaj, mówię!

MAKAR:
O matko, Marcyś, wyluzuj, wiesz przecież, że chciałem dobrze...

MARCYŚ:
Wiem. Ty zawsze chcesz dobrze, ale rzadko ci wychodzi.

MAKAR:
No, ale posłuchaj! Koncert to nie wszystko! Jest jeszcze stypendium do wyjęcia. Dwanaście tyśiaków dla muzycznie uzdolnionych młodych artystów z obszarów objętych jakimś tam, tym... unijnym programem. Dowiedziałem się o tym, jak łąziłem do urzędu w sprawie tych dożynek. I wójt mi powiedział, że nie mają w gminie żadnych kandydatów, a wszystko trzeba załatwić do końca miesiąca, bo za rok już tej kasy nie dostaną i podpadną jakiejś komisji czy coś. Mamy dwanaście tysia w kieszeni, panowie.

LIZZY:
Nie, no! Kasa to jest już jakiś konkret!

MAKAR:
Ale jest niestety jeden szczegół...

MARCYŚ:
O, ciekawe jaki.

MAKAR:
Na dożynkach mamy zagrać spokojnie. Tu się mają zjechać jacyś ludzie z PO i z PSL-u, no, poważna sprawa. Lepiej nie szokować establishmentu. Tak na wszelki wypadek.

MARCYŚ:
A powiedziałaś w ogóle wójtowi, co my gramy?

MAKAR:

Próbowałem mu wyjaśnić, ale on się zatrzymał na etapie Skaldów i Trubadurów, więc po prostu obiecałem, że się dostosujemy do ogólnego klimatu imprezy.

MARCYŚ:

Jezus Maria...

LIZZY:

E tam, Marcyś, damy radę. Zagra się coś spokojnego i tyle.

MARCYŚ:

Lizzy, my nie mamy w repertuarze spokojnych kawałków.

LIZZY:

No to co? Wymyślimy coś na poczekaniu. Dla mnie wymyślić kawałek w stylu, dajmy na to, Myslovitz to jest żaden problem. Albo w stylu tego, no...

MARCYŚ (do Lizzy'ego):

Lizzy, zamknij się, proszę cię. *(do Jaromira)* A ty co tak nic nie mówisz?

JAROMIR:

Odebrało mi mowę normalnie. Wreszcie mamy menadżera. Dziejowa chwila.

MARCYŚ:

Czyli co? Chcecie wystąpić przed Kombi? Kombi przez dwa „i”? Na dożynkach? Zwariowaliście?

LIZZY:

Moim zdaniem trzeba się nad tym poważnie zastanowić. To może być dla nas spora szansa...

MARCYŚ:

Szansa? Niby na co?

LIZZY:

No... szansa na sukces, oczywiście.

MARCYŚ:

Jaki sukces? Występ na dożynkach, przed Kombii, w jakimś festynowym repertuarze, to ma być szansa na sukces?

LIZZY:

Lepsze to niż nic. Kiedy myśmy ostatnio zagrali jakiś koncert, co?

MAKAR:

Sześć lat temu, w Kłodzku, na Wielkiej Orkiestrze.

LIZZY:

No właśnie. A od tamtego czasu nic.

MARCYŚ:

A co ma być? Gramy sobie dla przyjemności i tyle. Mieliśmy swoje pięć minut, ale to było dawno i nieprawda, we Wrocławiu, nie tu, a teraz jesteśmy...

LIZZY:

Teraz też nic straconego. Jak zagramy przed Kombi, to może wpadniemy komuś w oko. Skawińskiemu na przykład. Facet jest w branży od wieków, może mógłby nam pomóc, komuś nas polecić...

JAROMIR:

Lizy, akurat Skawie to bym w oko wołał nie wpadać...

MARCYŚ:

Myślisz, że on będzie chciał nas oglądać? Wpadną na stadion na minutę przed wejściem na scenę. I zaraz spierdolą do domu. Albo na inne dożynki.

LIZZY:

Ale jakaś szansa jest!

MARCYŚ:

Lizy, jesteśmy deathmetalową kapelą. Deathmetalową!

LIZZY:

Wiem. No i co z tego?

MARCYŚ:

To z tego, że trzeba się czegoś trzymać. Mamy się sprzedać za dwanaście tysięcy i wystąpić na dożynkach? My? „Majteczki w kropeczki” mamy tam zagrać czy jak?

LIZZY:

Przesadzasz.

MARCYŚ:

Nie przesadzam. *(do Jaromira)*. Odezwij się, kurwa, bo ja już nie daję rady.

JAROMIR:

Hmm... Dwanaście tysia piechotą nie chodzi...

MAKAR:

O, widzisz! Moglibyśmy coś za to kupić dla zespołu.

MARCYŚ:

Co na przykład?

LIZZY:

Cokolwiek! Przecież to, na czym gramy, pamięta jeszcze komunę.

MARCYŚ:

Na to nasze piątkowe pykanie wystarczy.

LIZZY:

Nasze graty się niedługo rozsypią. Popatrz na swój wzmacniacz. To jest zabytek.

MARCYŚ:

Ma piękne, szlach...

LIZZY (*wchodząc mu w słowo*):

Tylko mi nie mów, o jego pięknym, szlachetnym brzmieniu. Mikrofony nam się psują, wszystko nam się psuje. Jest okazja, trzeba korzystać. Pecunia non olet.

MARCYŚ:

Człowieku! Co ta robota w banku z tobą zrobiła?

(*pauza*)

Czyli co, wszyscy jesteście za, tylko ja jeden przeciw, tak?

MAKAR:

Ja tak. Ja jestem za.

MARCYŚ:

Ciebie nie pytam, zdrajco, zamknij się.

LIZZY:

Ja też jestem za. Bylibyśmy frajerami, gdybyśmy w to nie weszli.

MARCYŚ:

Uhm. A ty?

JAROMIR:

Ja też jestem za. Biorę poprawkę na twoje uczucia religijne, ale jestem za.

MARCYŚ:

To pocałujcie się w dupę. Odchodzę z kapeli.

Zaciemnienie.

SCENA 7

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Wolne rozjaśnienie – znów jest jak w scenie otwierającej.

MARCYŚ *(do publiczności):*

Takiego spięcia między nami nigdy do tamtej pory nie było. A w ten piękny piątek... Jeb – i po kapeli. I to mojej winy. Z winy człowieka, który całą tę bandę od zawsze trzymał w kupie. Co za dramat.

(pauza)

Ale ja nie jestem pewien, czy wy... No, czy wy rozumiecie, w czym rzecz.
(pauza, Marcyś z jednego z mebli w swoim pokoju z lat 80-tych bierze starą, podniszczoną płytę winylową)

Pierwsza płyta w mojej kolekcji. Zdobyta po pięciogodzinnym staniu w kolejce w kłodzkiej księgarni. „Nowy rozdział”. Klasyk, proszę państwa. Moment, w którym odsłuchałem pierwszy numer na tym longplayu, to jest moment... epifanii.

SCENA 8

Mieszkanie Marcysia z lat 80-tych

Lata 80., umowne wnętrze pokoju Marcysia-Juniora. Na podłodze gramofon i rozstawione na dywanie głośniki. Przez drzwi wpada mały Marcyś, przejmuje od Marcysia-Seniora płytę Kombi i nerwowo instaluje ją na talerzu gramofonu.

Scenie z rozczuleniem przygląda się z boku Marcyś-Senior.

MARCYŚ-SENIOR *(do publiczności):*

Widzicie? Zaraz polecą „Cyfrowa gra”. Utwór instrumentalny. Arcydzieło. A obcowanie z arcydziełem zmienia człowieka. Nieodwołalnie. Usiądę i posłuchamy sobie razem.

Chłopiec właśnie uruchamia urządzenie. Rozlega się utwór zespołu Kombi. Marcyś-Junior przeżywa każdy dźwięk, a Marcyś-Senior jak najbardziej dosłownie wchodzi w świat swojej przeszłości, przysiadając się do chłopca i również napawając się muzyką.

MARCYŚ-SENIOR *(po dłuższej chwili, do publiczności):*

Dobra, wystarczy.

(do Marcysia-Juniora)

Ścisz trochę, chłopcze.

Marcyś-Junior patrzy z wyrzutem na Marcysia-Seniora, ale po chwili muzyka cichnie.

MARCYŚ-SENIOR *(do publiczności):*

Ale już łapiecie, nie? Łapiecie? Wy pewnie tak, wy jesteście wyrobieni, macie gust, macie wrażliwość, w końcu chodźcie do teatru. Ale moja żona... Moja żona nigdy nie łapała...

SCENA 9

Współczesne mieszkanie Marcysia

Sypialnia Marcysia i Magdy. Magda siedzi w łóżku. Marcyś spaceruje nerwowo po scenie.

MAGDA (*chichocząc*):

Nie no, nie mogę...

MARCYŚ:

Przestań, kobieto.

MAGDA:

Nie mogę...

MARCYŚ:

Magda, przestań, bo dzieci pobudzisz. Po czyjej ty jesteś stronie, co?

MAGDA (*wciąż chichocząc*):

Po twojej, miśiu. Zawsze.

MARCYŚ:

Jasne. Ale uważasz, że jestem idiotą, nie?

MAGDA:

Oczywiście.

MARCYŚ:

To oni są idiotami. Myślą, że co? Że mamy jeszcze na cokolwiek szansę? A Lizzy to już w ogóle oszalał. Zawsze miał niedoleczone ambicje, ale teraz...

MAGDA:

Nigdy na nic nie jest za późno. A ja wysłałam za muzyka, nie za faceta ze sklepu.

MARCYŚ:

No to co ja mam zrobić?

MAGDA:

Idź do nich, przeproś i powiedz, że się zgadzasz.

MARCYŚ:

Przecież to śmieszne.

MAGDA:

No właśnie.

MARCYŚ:

Ale ja nie chcę, żeby było śmiesznie.

MAGDA (znowu chichocząc):

Już jest.

MARCYŚ:

Kurwa mać, no!

MAGDA (poważniejąc):

Ty się boisz, misiu.

MARCYŚ:

Czego niby?

MAGDA:

Boisz się, że znowu wam nie wyjdzie. Boisz się, bo raz wam nie wyszło, i obwiniasz o to siebie, moim zdaniem zupełnie słusznie.

MARCYŚ:

Pani psycholog jak zwykle w pogotowiu. Nie będę znowu o tym gadał. Nie mogłem jechać wtedy w trasę, musiałem być z tobą. Mężczyzna nie może opuszczać swojej kobiety, kiedy dzieje się jej krzywda.

MAGDA:

Ojeju, ale mnie wzruszyłeś. Zaraz się popłaczę. Jednego wieczoru tyle wrażeń, to może mi zaszkodzić...

(znów zaczyna chichotać)

MARCYŚ:

A co, twoim zdaniem, może nam dać koncert na dożynkach, hę?

MAGDA:

Koncert to szczegół. To jest koszt uzyskania dochodu. Ważne jest stypendium. I za te dwanaście tysięcy zamiast kupować sprzęt, powinniście moim zdaniem wynająć jakieś dobre studio we Wrocławiu. Nagrać coś w porządnym warunkach, tak, żeby chociaż tyle po was zostało. Dobry pomysł?

MARCYŚ:

Hmm... O tym nie pomyślałem... Ale żeby upaść tak nisko? Mam za dwanaście kawałków sprzedać całe moje dzieciństwo? Siebie sprzedać?

MAGDA:

Misiu, Kombi to jest tylko pretekst. Sentyment do Kombi chroni cię, Misiu, przed nieznanym, przed przyszłością, krótko mówiąc... Odstawiasz Rejtana w obronie Sławomira Łosowskiego, ale moja hipoteza jest taka, że...

MARCYŚ:

Boże kochany, gdzie ja miałem oczy, jak cię brałem?

MAGDA:

Idę spać. A ty tu sobie pomyśl. *(wchodzi pod koldrę)* Może ci się coś przyśni. Na przykład teledysk do „Słodkiego, miłego życia”.
(chichocze spod koldry, odwraca się na bok i gasi lampkę)

Zaciemnienie i –

SCENA 10

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

– rozjaśnienie – znów jest jak w scenie otwierającej.

MARCYŚ *(do publiczności):*

Nie ma to jak wsparcie własnej małżonki. Tak to jest, jak człowiek idzie na imprezę do akademika i zaczyna gadać ze studentką psychologii, a potem podrywa ją na gitarę i zabiera na próbę. W efekcie ma w domu przez całe życie darmową psychoterapię. Zero empatii po prostu. A przecież my, metalowcy, jesteśmy wrażliwi. Gramy ostro, ale to nie znaczy, że jesteśmy zrobieni ze stali jak te pacany z Manowar...

(pauza, bohater zaczyna nerwowo chodzić tam i z powrotem)

A więc mam przykre doświadczenia, które podcięły mi skrzydła. Jasne. Miałem wtedy zostawić ją samą w szpitalu i jechać w Polskę. Co tam operacja, dzień jak co dzień. Ale nie, ona się zaparła, namawiała mnie. „Jedź, drugi raz taka okazja wam się nie trafi.

Gracie trasę z taaaką kapelą! Ja przeżyję, o mnie się nie martw”. Tylko że ja też się zaparłem. I teraz co? Mijają lata, człowiek wraca na stare śmieci, ma dwoje dzieci, psa, własne mieszkanie, jak na absolwenta bibliotekoznawstwa przystało – fantastyczną pracę w sklepie ze sprzętem górskim, ale nie. Żona wie, że jej misio w środku ma złamane serduszko.

(pauza)

Ale pomysł z wynajęciem studia nie był taki zły. I ta myśl nie dawała mi spokoju przez całą noc. Bo wiecie, od żony dowiedziałem się kiedyś, że najważniejsze, to skontaktować się z samym sobą. To jest podstawa każdej terapii. Dotarcie do własnego wnętrza, o nic innego nie chodzi.

SCENA 11

Pokój Marcysia z lat 80-tych

Jak w SCENIE 8: Marcyś-Junior z zaangażowaniem słucha kolejnych hitów Kombi. Do chłopca podchodzi Marcyś-Senior i siada obok niego na dywanie. Muzyka stopniowo przechodzi w dalekie tło rozmowy.

MARCYŚ-SENIOR:

Świetne, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Najlepsze na świecie!

MARCYŚ-SENIOR:

Będziesz miał jeszcze inne płyty, zobaczysz...

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie potrzebuję. Ta mi wystarczy do końca życia.

MARCYŚ-SENIOR:

Ale są jeszcze inne zespoły...

MARCYŚ-JUNIOR:

Kombi i tak jest najlepsze.

MARCYŚ-SENIOR:

No, tak, ale... Na jednej kapeli świat się nie kończy.

MARCYŚ-JUNIOR:

Jak się jest prawdziwym fanem, to się kończy.

MARCYŚ-SENIOR *(do publiczności):*

Nie jest łatwo, sami widzicie.

(do Marcysia-Juniora)

Wyobraź sobie taką sytuację, że jesteś już dorosły...

MARCYŚ-JUNIOR:

I gram w Kombi.

MARCYŚ-SENIOR:

Nie! Zamknij się i słuchaj. Jesteś już dorosły, masz żonę, dzieci, trochę mieszkałeś we Wrocławiu, ale tak się złożyło, że mieszkasz już teraz znowu w Kochanowie, razem z kolegami...

MARCYŚ-JUNIOR:

Z Lizzym, Makarem i Jaromirem?

MARCYŚ-SENIOR:

Tak...

MARCYŚ-JUNIOR:

To super.

MARCYŚ-SENIOR:

To zależy. W każdym razie grasz w swoim własnym zespole...

MARCYŚ-JUNIOR:

Na elektronicznej perkusji?

MARCYŚ-SENIOR:

Nie!!! Na perkusji gra Jaromir!

MARCYŚ-JUNIOR:

Ale na elektronicznej?

MARCYŚ-SENIOR:

Jakiej elektronicznej? Przestań mi, do cholery, przerywać!

(pauza)

Masz swój własny zespół, kiedyś tam była szansa na karierę, ale nie wyszło, mniejsza o to, dlaczego, ale nie wyszło. Pobujałeś się z chłopakami po Wrocławiu, postudiowałeś sobie, ale potem wróciłeś do Kochanowa. I grasz sobie co piątek, luźno i niezobowiązująco. I nagle okazuje się, że do Kochanowa przyjeżdża Kombi...

MARCYŚ-JUNIOR *(zrywając się na równe nogi):*

Co??? Kiedy?

MARCYŚ-SENIOR:

Siadaj, nie ma się z czego cieszyć. Kombi przyjeżdża na dożynki, czyli wiocha do kwadratu. A poza tym to nie żadne Kombi tylko Kombii *(akcentuje wyraźnie dwa ostatnie „ii”)*. Skawa, Tkaczyk, ale bez Łosowskiego.

MARCYŚ-JUNIOR:

Bez Łosowskiego? To niemożliwe! Dlaczego?

MARCYŚ-SENIOR:

Wyślizgali go. Poszło o różnice artystyczne, czyli o kasę, tak z grubsza rzecz ujmując.

MARCYŚ-JUNIOR:

Grzegorz Skawiński na pewno by się tak nie zachował. Waldemar Tkaczyk też.

MARCYŚ-SENIOR:

Zachowali się, możesz mi wierzyć. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że teraz ty, z tym swoim zespołem, za, powiedzmy, stosunkowo niemałą kwotę, miałbyś przed tym nowym Kombi wystąpić. I co ty na to?

MARCYŚ-JUNIOR:

Na pewno nie!

MARCYŚ-SENIOR *(do publiczności):*

O, masz. Radykał. Właśnie tego się obawiałem.

(do Marcysia-Juniora)

Weź się, chłopie, chwilę zastanów, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie ma się nad czym zastanawiać. Na pewno bym nie wystąpił.

MARCYŚ-SENIOR:

Ale gdyby...

MARCYŚ-JUNIOR:

Nie!

MARCYŚ-SENIOR:

Twardy jesteś, co?

MARCYŚ-JUNIOR:

Pewnie. Trzeba mieć jakieś zasady.

MARCYŚ-SENIOR:

Dobra, to już wiem, na czym stoję.

MARCYŚ-JUNIOR:

Jak się jest PRAWDZIWYM fanem jakiegoś zespołu...

MARCYŚ-SENIOR:

Włącz sobie coś, ok.? „Kochać cię – za późno” na przykład.

MARCYŚ-JUNIOR:

Teraz najbardziej lubię „Karty śmierci”. To będzie przebój.

MARCYŚ-SENIOR:

Nie będzie. Nikt nie zna tego kawałka.

MARCYŚ-JUNIOR (*nagle, zupełnie po „dorosłemu”*):

Świetne mi zarysowałeś perspektywy na przyszłość, nie ma co. To ja już wolę nie dorastać.

Rozżalony Marcyś-Junior daje głośniej adapter i wraca do słuchania płyty.

MARCYŚ-SENIOR (*do publiczności*):

No, to się wiele o sobie dowiedziałem.

(*pauza*)

Kurde, nie wiem, czy nie byłem zbyt brutalny...

(*Marcyś nie przestaje mówić*)

SCENA 12

Współczesne mieszkanie Marcysia

Znów sypialnia, ale rano. Magda śpi, Marcyś chodzi po scenie.

...Chłopak jest młody, trudno mu sobie pewne rzeczy wyobrazić. Ale co? Mam słuchać takiego gówniarza? Bo co? Bo ON by tego nie zrobił? Dziewięćolatek?

Ostatnie zdanie Marcyś wypowiada dość głośno. Magda budzi się i przeciera oczy.

MAGDA:

O, cześć... Ty spałeś coś w ogóle?

MARCYŚ:

Nie.

MAGDA:

Myślałeś?

MARCYŚ:

Tak.

MAGDA:

No to się nachodziłeś przy okazji. I co wymyśliłeś?

MARCYŚ:

Że wchodzę w to. Dwanaście kawałków to jest niezła kasa, a my faktycznie nie mamy żadnego porządnego materiału. Za te pieniądze da się wynająć w miarę porządne studio. Wypalimy sobie parę płytek na pamiątkę i po zawodach.

MAGDA:

Świetnie. *(przeciąga się, wstaje i całuje Marcysia)* Ale wiesz... może być po zawodach albo zawody mogą się dopiero zacząć. Nie pękasz, misiu?

MARCYŚ:

Nie. Nie będę się sugerował tym, co mówi gnojek, który ledwo sięga mi do pasa.

MAGDA:

Jaki gnojek?

MARCYŚ:

Mniejsza o to. Zrobiłem sobie autoanalizę i wyszło mi, że możesz mieć częściowo rację. Ewentualnie. Hipotetycznie.

MAGDA:

Ty jesteś łatwy do rozszyfrowania, misiu.

MARCYŚ:

Łatwy? Ja jestem niebywale skomplikowany. Jestem artystą.

MAGDA:

Dobra, panie śmierć-metalowy artysto, dzwoń do chłopaków. I pozdrów ode mnie Makara.

(zaczyna się krzątać po pokoju, po chwili wychodzi, najwyraźniej do łazienki, bo w tle monologu Marcysia słychać dźwięki lejącej się wody)

MARCYŚ *(do publiczności, wyciągając jednocześnie telefon komórkowy i wybierając kolejne numery):*

No więc podzwoniłem po chłopakach...

(pauza)

Tak, Lizzy, wiem, wiem, sorry.

(pauza)

W sumie nie było problemu...

(pauza)

Jaromir, znasz mnie, wiesz, że czasem mnie ponosi... Ok, ok., wpadnę, to pogadamy...

(pauza)

Wszyscy dali się przeprosić...

(pauza)

A Makar nie miał nawet żalu, taki jest ten nasz kolega.

(pauza)

I czego się cieszysz, durniu, co? Tak, Magda też cię pozdrawia.

(pauza)

No po prostu nic, tylko zaczynać próby i przygotowywać relaksacyjny repertuar na dożynki. Aha – i jeszcze to stypendium. W końcu szmaciliśmy się dla kasy. No, ale jak już wypełniliśmy wszystkie druczki, okazało się, że na pieniądze trzeba będzie poczekać. Obwieścił nam to sam pan wójt. Normalnie, ludzkie panisko, osobiście przyjechał do nas na próbę. Z gospodarską wizytą.

(w stronę łazienki)

No, kończ już wreszcie, ja też muszę jechać do pracy! Dziećmi się zajmij, zrób im śniadanie. Do kuchni, kobieto! Do kuchni!

(do publiczności)

O, tak właśnie zachowują się prawdziwi metalowcy.

Marcyś dostaje mokrym ręcznikiem w twarz. Z łazienki słychać chichot Magdy. Szybkie zaciemnienie.

SCENA 13

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Stopniowe rozjaśnienie – znowu jest jak w SCENIE 2.

Zespół w komplecie. Muzycy są wyraźnie usztywnieni i spięci. Na scenę pewnym krokiem wchodzi Wójt i bacznie lustruje otoczenie.

WÓJT:

No, przydałby się tutaj porządny remont... Ale to się zobaczy. Taak...

(wyciąga grabę do każdego z muzyków)

Miło poznać, panowie. Gratuluję, prawda... I tak dalej... Właściwie wszystko mamy pozapinane, ale na pieniądze będziecie musieli poczekać do września....

LIZZY *(dramatycznie):*

Do września?

WÓJT:

Do września.

LIZZY:

Oj, a myśmy myśleli...

WÓJT:

Stypendium przyznaje się w maju, ale wypłaca we wrześniu. Taka jest procedura.

MARCYŚ:

Trudno, poczekamy.

WÓJT:

Pieniądze będą na pewno, proszę się nie martwić. Ja tutaj jestem gwarantem. Gmina mocno inwestuje w młode talenty, bo sami panowie wiecie, jak wygląda sytuacja. Młodzi ludzie wciąż wyjeżdżają za granicę. To cud właściwie, że panowie mieszkają i pracują tutaj, a nie na przykład w Irlandii.

MAKAR:

Od przedszkola trzymamy się razem!

WÓJT:

Tak, już mi pan wcześniej o tym opowiadał. To cieszy, że jesteście tutaj i na niwie kultury działacie razem, to niezwykle cenne. Spróbujemy was trochę podpromować. Bo wiecie, panowie, w gminie nie ma w tej chwili żadnego zespołu młodzieżowego...

MARCYŚ:

Ale my niestety gramy death metal...

WÓJT:

Nic nie szkodzi. A co to jest ten death metal?

MARCYŚ:

Wie pan kto to jest Nergal?

WÓJT:

Zaraz, zaraz... Tak! To ten chłopak, co go tak w telewizji pokazują?

MARCYŚ:

No właśnie. I my gramy mniej więcej to samo co on. Co jego zespół...

WÓJT:

Bardzo dobrze. Moja żona twierdzi, że to wyjątkowo kulturalny młody człowiek.

JAROMIR:

Oho, fan-club Behemotha ciągle się rozrasta...

WÓJT:

Podobno ten zespół Nergala jest bardzo popularny na całym świecie. I to jest dobry kierunek. Trzeba się wzorować na najlepszych, panowie. O naszej gminie też powinno być głośno. No, to gratuluję jeszcze raz i wracam do obowiązków. Będziemy w kontakcie. Na pewno mi się jeszcze przydadcie, chłopcy.

Wójt wychodzi. Muzycy stoją przez chwilę bez ruchu – wyraźnie poruszeni wizytą.

MAKAR:

Widzicie? Dzięki mnie mamy władzę po swojej tronie.

JAROMIR:

Zaraz, a co to niby znaczy, że możemy mu się jeszcze przydać?

MARCYŚ (do publiczności):

Otóż to. To było podstawowe pytanie.

MAKAR:

Nie wiem, pewnie w tej promocji gminy jakoś.

LIZZY:

Może chcą wydać na CD jakąś składankę lokalnych hitów?

JAROMIR:

No, „In The Mountains Of Madness” mogliśmy im dać za darmo.

LIZZY:

Uhm. Bo w górach jest wszystko, co kocham...

Muzycy wybuchają śmiechem i zaczynają przygotowywać się do próby.

MARCYŚ (do publiczności):

„In The Mountains Of Madness” to jeden z naszych najlepszych kawałków. Muzycznie – walec w stylu Bolt Thrower, tekstowo – opowieść o seryjnym mordercy, jak większość tekstów Jaromira.

(pauza)

Tylko do czego mamy się przydać wójtowi? Ale przecież na pewno chce dobrze, prawda? Dobrze dla gminy. A więc i dobrze dla nas. *(do Makara)* Prawda?

MAKAR (wzruszając ramionami):

Prawda.

MARCYŚ (do publiczności):

Potem doszedłem do wniosku, że wójt chce sobie odpowiednio wcześniej zacząć kampanię i że dwie kadencje to dla niego zdecydowanie za mało, ale co nas to mogło obchodzić. My gramy death metal. Na dożynkach zagramy co prawda spokojnie, ale to wyjątek i chwilowy kompromis, bo nie będzie mi żaden dziewięćolatek...

(Marcyś nie przestaje mówić)

SCENA 14

Mieszkanie Marcysia z lat 80-tych.

Marcyś manipuluje przy gramofonie. Kontynuuje monolog.

MARCYŚ *(do publiczności):*

... mówił, co mam robić. Coś spokojnego, powiadacie?

(Marcyś włącza „Wspomnienia z pleneru” zespołu Kombi)

No, to jest świetne, ale tak nie mogliśmy zagrać, nie było szans. Nie mieliśmy klawiszy.

(pauza)

Co tu dużo gadać, postanowiliśmy skomponować coś w stylu rocka środka. Dla zawodowców to żaden problem. W każdym razie na pewno nie dla Lizzy'ego.

(Marcyś wchodzi w mrok, w głąb sceny, i po sekundzie wraca z gitarą)

Tylko, że jakoś, cholera, nic nam nie wychodziło. Ale urząd gminy, zgodnie z obietnicą, wkrótce przedstawił nam nowe możliwości rozwoju.

SCENA 15

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Zespół w komplecie. Muzycy przez dłuższą chwilę próbują grać jakąś rzewną balladę, ale nie wychodzi im – wreszcie Jaromir rzuca wściekle pałeczkami. Zespół rozjeżdża się, muzyka milknie.

JAROMIR:

Ja już dłużej nie dam rady.

LIZZY:

Skup się, stary, już prawie mamy cały kawałek.

JAROMIR:

Ja do tego tekstu pisać nie będę.

MARCYŚ:

Panowie, bądźmy konsekwentni. Damy radę. Jak już w to wleźliśmy, to do końca.

JAROMIR:

Ja tego nie czuję, Lizzy. Marnujemy czas i tyle.

LIZZY:

Gramy, panowie! Mamy trzy miesiące, w tym tempie nic nam się do września nie uda wymyślić. A przynajmniej z sześć kawałków mieć musimy. Założmy, że jeden zagramy na bis, to...

JAROMIR:

Jaki bis, człowieku? Gramy i spierdalamy.

MAKAR:

No to weźmy na warsztat jakieś klasyki i po robocie.

LIZZY:

Ale tak nie zrobimy wrażenia na Skawińskim.

MARCYŚ:

Lizzy, przestań, proszę cię. On na nas nawet nie spojrzy.

LIZZY:

A jak spojrzy i zobaczy, i usłyszy, że gramy nie swoje numery, to co?

MARCYŚ:

To nic. Jeśli zagramy je dobrze, to może mu się spodobać.

LIZZY:

Myślisz?

JAROMIR:

Ty mu się na pewno spodobasz, Lizzy. Twoja desperacja jest kurewsko pociągająca.

MARCYŚ:

Dobra, dajmy sobie spokój z tym badziewiem. Zagramy na przykład...

LIZZY:

„Nothing Else Matters”!

MARCYŚ:

O masz. No, dobra.

Muzycy rozpoczynają utwór. Po pierwszych, trochę niepewnie zagranych taktach, idzie im całkiem nieźle. Nagle na scenie pojawia się jednak Wójt, który uniesioną ręką – jak surowy policjant – „zatrzymuje” zespół.

WÓJT:

Bardzo ładnie, panowie, bardzo ładnie. Ale ja w zupełnie innej sprawie.

Muzycy zastygają w napięciu.

MAKAR:

Dzień dobry, panie wójcie!

WÓJT:

W Wałbrzychu za dwa tygodnie będzie przegląd zespołów rockowych. I ja bym chciał, panowie, żebyście tam zegrali jako reprezentanci gminy.

MARCYŚ:

My?

WÓJT:

Tak. Wy.

MARCYŚ:

Jako reprezentanci gminy?

WÓJT:

Tak. Jako stypendyści i przyszłość naszego regionu. Podzwoniłem, gdzie trzeba, załatwiłem wszystko – i jesteście na liście. No, to co wy na to?

LIZZY (po dłuższej chwili krępującego milczenia):

W zasadzie moglibyśmy potraktować taki przegląd jak próbę generalną przed dożynkami...

JAROMIR:

Przepraszam, ale czy my tam mamy coś wygrać?

WÓJT:

Nie. Macie godnie zaprezentować gminę. To wszystko.

JAROMIR:

No to ja wiem? Czemu nie?

MAKAR:

Jedźmy, co nam szkodzi!

WÓJT:

Świetnie. Właśnie o taką współpracę z wami mi chodziło.

Wójt wychodzi odprowadzany niechętnymi spojrzeniami muzyków.

MARCYŚ (do publiczności):

Mistrzowie asertywności, jak Boga kocham...

(pauza)

Pojechaliśmy na ten przegląd. Okazało się, że gramy przed gwiazdą imprezy, jakimś lokalnym zespołem punkowym. Pech chciał, że gdy instalowaliśmy się na scenie, Jaromir zaplątał się w jakiś kabel i poleciał głową w werbel, a nogami w talerze. Huk, krzyk i śmiech na sali. Punkowa gówniarzeria drze łacha z nas, starych metali. Najgorsze było jednak to, że akustykiem był tam jakiś dzieciak. I dał pełną parę na mikserze, bo Jaromir powiedział, że jak nie podkreśli wszystkiego na maksa, to po koncercie przyczepi go do zderzaka samochodu i zaciągnie przynajmniej do Nowej

Rudy...

(pauza)

No więc stajemy na scenie upozowani jak Vader na Woodstocku.

(muzycy stają w groźnych pozach)

Kolumny trzeszczą w obudowach...

(kolumny trzeszczą)

Zaczynamy pierwszy kawałek.

(Jaromir robi „raz, dwa, trzy” palcami, muzycy szarpiają struny i w tej samej chwili zapada cisza i ciemność; światło po chwili znowu się zapala)

I jeb.

(pauza)

Cały ichni sprzęt poszedł z dymem i zaczęły się zamieszki. To cud, że nas tam nie zabili. Przez godzinę siedzieliśmy na zapleczu i dopiero jak już wszyscy wyszli, zwinęliśmy sprzęt i wymknęliśmy się z placówki tylnymi drzwiami. Po prostu masakra, żenada i wstyd. Ale to koniec naszych przygód.

(pauza)

Że wójt bardzo rozczarował się naszym występem, dowiedzieliśmy się trochę później. Bo najpierw przyjechała do nas pani z gazety. Z „Tygodnika Kłodzkiego”. Dowiedziała się o naszym stypendium i postanowiła sprawdzić, komu gmina daje taką fortunę. Prasa musi patrzeć władzy na ręce. Od tego jest.

SCENA 16

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Wyraźnie zdenerwowani muzycy siedzą przy swoich instrumentach, obok nich – na wzmacniaczu Lizzy’ego – siedzi Dziennikarka.

DZIENNIKARKA

(wyciągając z torebki notes i podsuwając muzykom pod nos dyktafon):

Od tego jestem, panowie. Jak wójt hojną ręką rozdaje pieniądze, muszę wiedzieć, do kogo one trafiają. W sumie nie chodzi nawet o mnie. Chodzi o ludzi. Ludzie muszą wiedzieć.

JAROMIR:

Jasna sprawa. Demokracja.

DZIENNIKARKA *(po chwili krępującej ciszy):*

No to może opowiecie mi coś o sobie?

MARCYŚ:

Hmm... No więc nazywamy się Exterminator...

DZIENNIKARKA *(z uśmiechem):*

Skąd taka nazwa?

MARCYŚ:

Miała groźnie brzmieć... a poza tym „Terminator 2” to był kiedyś mój ulubiony film...

JAROMIR:

Ja chciałem, żebyśmy się nazwali Ścierwo.

MARCYŚ:

Przestań, Jaro.

DZIENNIKARKA:

Jak?

JAROMIR:

Ścierwo. Albo Ropień.

DZIENNIKARKA:

Ale dlaczego?

JAROMIR:

To się wpisuje w poetykę gatunku.

DZIENNIKARKA:

Jakiego gatunku?

JAROMIR:

W poetykę i estetykę death metalu.

DZIENNIKARKA:

Czyli?

JAROMIR:

Czyli pani nie wie, co gramy...

DZIENNIKARKA (*rozglądając się po scenie*):

No właśnie próbuję się dowiedzieć... Cóż, nie jestem na bieżąco z tym, co teraz interesuje młodzież... No więc co to jest ten... death metal?

MAKAR:

Ja powiem! No więc historię ciężkich odmian muzyki można datować już nawet na lata sześćdziesiąte, jednak za protoplastów gatunku powszechnie uważa się zespół Black Sabbath... Zna pani Black Sabbath?

DZIENNIKARKA:

Nie...

MAKAR:

Nie szkodzi...

JAROMIR:

Kurde, znowu się nakurzył...

MAKAR:

... no i zespół Black Sabbath na swojej debiutanckiej płycie, pod tytułem „Black Sabbath” zresztą, w zasadzie zdefiniował gatunek. A potem przyszli następni artyści... No bo tak – jest heavy metal, jest thrash metal, jest black metal, jest death metal, jest...

MARCYŚ:

To jest nieważne, kolega chce powiedzieć, że muzyką, którą gramy, ma długą historię.

DZIENNIKARKA:

No tak, tak... Ale jaka ona jest, czym się różni od tego, co można usłyszeć w radiu?

JAROMIR:

Przede wszystkim gramy bardzo ciężko...

DZIENNIKARKA:

Czyli bardzo powoli?

JAROMIR:

No właśnie wręcz przeciwnie. Powoli grają doom metalowcy...

DZIENNIKARKA:

Kto?

MARCYŚ:

Czasem gramy wolno, ale najczęściej jednak szybko. I głośno.

LIZZY:

Krótko mówiąc, blasty plus riffy i growling.

DZIENNIKARKA:

O Boże, a co to takiego?

LIZZY (do kolegów):

To może zagramy coś specjalnie dla pani?

(do Dziennikarki)

A pani, przepraszam, jakiej muzyki słucha prywatnie?

DZIENNIKARKA:

No cóż, uwielbiam przede wszystkim Kabaret Starszych Panów...

MARCYŚ (panicznie):

Nie, nie, nie! Zagramy dla pani kiedy indziej, a dziś sobie po prostu porozmawiamy...

O tej porze nie będziemy przecież hałasować...

DZIENNIKARKA (wskazując pentagram w logo zespołu):

A ten symbol, o tam, to nie jest przypadkiem symbol satanistów?

JAROMIR:

On również wpisuje się w poetykę gatunku.

MARCYŚ:

To tylko taka konwencja.

LIZZY:

Ja wiem, że to może wyglądać dość niepokojąco, ale proszę mi wierzyć...

DZIENNIKARKA:

Już wiem! Wy jesteście jak ten cały Negral!

JAROMIR:

Negral!

LIZZY:

Poniekąd tak.

DZIENNIKARKA:

Mój Boże! Przecież to satanista.

Muzycy wybuchają chóralnym śmiechem.

MARCYŚ (do publiczności):

To był cały nasz komentarz na temat życiowej postawy Nergala i jego wiarygodności w środowisku. Wtedy jeszcze mogliśmy być pryncypialni. Ale to się szybko zmieniło.

DZIENNIKARKA:

(znowu coś zapisuje, na chwilę zalega pełna napięcia cisza)
A wy nie powinniście mieć długich włosów?

Chłopaki patrzą z uznaniem na Dziennikarkę, ale nie kwapią się z odpowiedzią.

LIZZY:

Powinniśmy.

JAROMIR:

Ale ścięliśmy, bo rozdawały się nam końcówki.

DZIENNIKARKA:

Powiedzcie mi więc, jak powstał wasz zespół.

MAKAR:

To zależy który.

DZIENNIKARKA:

To było ich więcej?

JAROMIR:

Były trzy.

MAKAR:

Najpierw mieliśmy zespół Hipodrom, inspirowany twórczością Kapitana Nemo...

JAROMIR:

I Papa Dance... Niestety, jako dzieci mieliśmy fatalny gust i to znacząco wpłynęło na nasz dalszy rozwój artystyczny.

LIZZY:

Lombard nam się podobał. I Klincz.

MARCYŚ:

I Kombi oczywiście...

MAKAR:

...a potem, kiedy trochę podrośliśmy, bo to była trzecia klasa podstawówki, wtedy nie mieliśmy nawet instrumentów, tak tylko udawaliśmy, że gramy... Wie pani, kartony zamiast perkusji, kij od szczotki zamiast mikrofonu... No więc jak podrośliśmy i poszliśmy do ósmej klasy, a rodzice nam kupili gitary, a Jarek dostał perkusję, to zaczęliśmy grać jak Chłopcy z Placu Broni.

DZIENNIKARKA:

Ach tak...

MAKAR:

Nazwaliśmy się wtedy...

MARCYŚ:

Makar, proszę cię, człowieku...

MAKAR:

...Korpus Krwawych Krawców.

DZIENNIKARKA:

O Boże!

MARCYŚ:

Ale to nic takiego. To była dowcipna nazwa!

LIZZY:

Taka w stylu Formacji Nieżywych Schabuff. Albo Sztywnego Pala Azji.

DZIENNIKARKA *(znów zapisując coś w notatniku, po chwili milczenia):*

I potem powstał Exterminator, tak?

MARCYŚ:

Tak. Inspirowaliśmy się wtedy....

JAROMIR (*wskazując na Marcysia*):

Jego najbardziej inspirował Grzegorz Skawiński.

LIZZY:

A mnie inni gitarzyści. Joe Satriani, Steve Vai, Eddie Van Halen...

(*stając nad Dziennikarką*)

V-A-N H-A-L-E-N. O, tak, dobrze.

Choć oczywiście Grzegorz Skawiński również jest niezły...

MARCYŚ:

Milcz, kanalio,

JAROMIR:

Co tu kryć, słuchaliśmy wtedy Bon Jovi, Def Leppard i Scorpionsów.

MAKAR:

A niedługo potem wspólnie odkryliśmy death metal. Pierwsze rzeczy Obituary, Morbid Angel, Deicide, Unleashed, Dismember, Carcass, Bolt Thrower, Vader, Grave... Ja tak mogę bardzo długo...

DZIENNIKARKA:

Taaak... Już mam, już mam. I jak potoczyły się dalsze losy Exterminatora?

LIZZY:

Pod koniec ogólniaka zaczęliśmy dawać pierwsze koncerty, a potem poszliśmy na studia. Na bibliotekoznawstwo. A Makar dla odmiany na kulturoznawstwo.

MAKAR:

Świetne studia, naprawdę. Bardzo rozwojowe.

LIZZY:

No i we Wrocławiu zaczęliśmy grać po klubach, nagraliśmy dwie demówki...

DZIENNIKARKA:

Co nagraliście?

MARCYŚ:

Demówki. Kasety z naszymi utworami, które potem rozsyłaliśmy do pism muzycznych i do wytwórni.

MAKAR:

Jedna się spodobała i dostaliśmy propozycje wyjazdu w trasę z Aggressorem.

DZIENNIKARKA:

Z kim? Z czym?

MAKAR:

Taki zespół. Aggressor. Właśnie byli na fali, spodobaliśmy się im...

JAROMIR:

Ale nie pojechaliśmy, bo...

MARCYŚ:

Nie pojechaliśmy, bo nie mogliśmy. Moja dziewczyna miała poważną operację.

MAKAR:

No i się wszystko spierdoliło. To znaczy, przepraszam, skończyło się wszystko. Trasa Aggressor okazała się sukcesem, a nam podcięło to skrzydła i zniechęciło do branży. Kapela prawie się rozpadła.

LIZZY:

Mogliśmy w sumie jechać z nimi w tę trasę, ale...

MARCYŚ:

To trzeba było jechać. Ja jechać nie mogłem.

Zalega cisza.

DZIENNIKARKA:

I co potem?

MARCYŚ:

Potem nic się już nie wydarzyło. Zespół poszedł w odstawkę, a ze dwa, trzy lata później wszyscy znaleźliśmy się z powrotem w Kochanowie.

DZIENNIKARKA:

Jednocześnie?

MAKAR:

Nie, najpierw przyjechał Marcyś, bo się ożenił i dostał pracę w sklepie górskim w Kłodzku, potem Jaromir, bo załapał się do biblioteki miejskiej... Potem z kolei wrócił Lizzy, bo jego bank otworzył placówkę w Kłodzku, a chłopina bardzo za nami tęsknił – a potem wróciłem ja, bo jestem lokalnym patriotą.

DZIENNIKARKA:

To niezwykle ciekawe, niezwykle ciekawe... A nie chcieliście nigdy stąd wyjechać?

JAROMIR (z nagłą powagą):

Myśli pani, że jesteśmy tutaj, bo nie mamy wyboru?

DZIENNIKARKA:

Nie, nie, skąd, przepraszam...

(pakując do torebki notatnik i dyktafon)

Uhm... No tak, tak... To ja będę się już zbierać. Dziękuję raz jeszcze. Było bardzo miło.

Dziennikarka żegna się i pośpieszenie wychodzi. Muzycy patrzą za nią, a potem po sobie. Są lekko dezorientowani.

LIZZY:
I co myślicie?

MARCYŚ:
Mam złe przeczucia.

JAROMIR:
Ja też.

MAKAR (wesółkowato):
Kabaret Starszych Panów? O matko kochana. *(mocno i złośliwie akcentując wszystkie zdrobnienia)* „Piosenka to jest klinek na splinek, na brzydki bliźniego uczynek...”

SCENA 17

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Znów jak w scenie otwierającej. Marcyś na proscenium.

MARCYŚ (do publiczności):
Miałem złe przeczucia i te przeczucia oczywiście mnie nie myliły.
(pauza)

Najpierw z gminy doniesiono nam, że wójt jest wściekły za ten nasz występ w Wałbrzychu. Gmina daje pieniądze na zespół, a zespół wykazuje się bez troską i brakiem dojrzałości. Oraz skrajną niewdzięcznością wobec mecenasa. A po weekendzie wyszedł nowy numer „Tygodnika Kłodzkiego”. A w nim – artykuł o nas.

(wyciąga z tylnej kieszeni spodni pomiętą stronę z gazety)

Tekst pod tytułem „Sataniści z Kochanowa” kończył się następująco *(czyta)*: Wójt, jeśli rzeczywiście myśli o pozostaniu na stanowisku na następną kadencję, powinien poważnie przemyśleć kulturalną strategię gminy. To oczywiście, że mamy ważne wydatki, ale kultury również nie można zaniedbać. Wydaje się, że na tym polu wiele jeszcze zostało do zrobienia.”

(wkłada gazetę z powrotem do kieszeni)

(pauza)

Najpierw zabrano nam klucze od sali.

Na scenie pojawia się Wójt i nonszalanckim gestem wzywa do siebie Marcysia. Marcyś wyjmując z kieszeni pęk kluczy i wręcza go Wójtowi. Ten kręci jeszcze głową z dezaprobatą i znika za kulisami.

MARCYŚ:
A potem pokłóciłem się z Magdą.

SCENA 18

Współczesne mieszkanie Marcysia

Sypialnia. Magda siedzi na łóżku.

MAGDA:

Czyli mam męża satanistę. Dobrze wiedzieć. W sumie zawsze podejrzewałam, że coś jest z tobą nie tak, tylko że jako psycholog nie miałam dystansu do obiektu badań, więc wyniki były niemiarodajne... Ale teraz już wiem, że...

MARCYŚ:

Mówiłem, że to nie ma sensu? Mówiłem? Zrobiliśmy z siebie kretynów. Zadowolona?

MAGDA:

Dramatyzujesz. Na pewno wszystko skończy się dobrze.

MARCYŚ:

Tak, już to widzę. Już to widzę.

MAGDA:

Ale coś się zaczęło dziać, nie?

MARCYŚ:

Zaczęło się, faktycznie. Mogłem cię nie słuchać. Byłoby tak jak przez ostatnie parę lat i miałbym święty spokój.

MAGDA:

Czyli znów panikujesz.

MARCYŚ:

Nie gadam z tobą.

MAGDA:

Panikujesz.

MARCYŚ:

Mogłem cię zostawić samą w tym szpitalu.

MAGDA:

Mogłeś. O nic innego mi nie chodziło.

MARCYŚ:

Nie gadam z tobą.

SCENA 19

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Marcyś na proscenium.

MARCYŚ *(do publiczności):*

Nieźle, nie? Ale teraz idzie najlepsze.

(pauza)

Otóż wójt wezwał nas na dywanik. Nie poprosił, nie spytał, czy ewentualnie, w wolnej chwili, nie. Po prostu mamy się stawić i koniec. Dzień, godzina, i tyle.

(pauza)

Musiał z nim rozmawiać ktoś poważny. I twardy. Krótko mówiąc – ja.

SCENA 20

Gabinet wójta

Biurko, krzesło, paprotki.

Marcyś, wyraźnie skonfundowany, nie wie, jak ma się zachować.

WÓJT:

Niech pan siada.

MARCYŚ *(siadając na krześle vis-a-vis wójta):*

Dziękuję.

WÓJT:

Gdzie reszta?

MARCYŚ:

Uznali, że ja jestem szefem. Mam pełnomocnictwa.

WÓJT:

Dobrze. Napije się pan czegoś?

MARCYŚ:

Nie, dziękuję.

WÓJT:

Staropolanki może?

MARCYŚ:

Nie, nie trzeba.

WÓJT *(po chwili):*

Panie Marcinie... co ja mam z wami zrobić, co? Drugi raz mam przez was kłopoty.

MARCYŚ:

No tak. Mogliśmy nie rozmawiać z tą kobietą z „Tygodnika”. Wie pan, ona nic nie zrozumiała...

WÓJT:

Być może. Ale ten tekst mocno mi zaszkodził. Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, jak bardzo. Wie pan, być członkiem PSL-u to nie jest łatwy kawałek chleba. Trzeba mieć oczy dookoła głowy. Zwłaszcza teraz, przed wyborami.

MARCYŚ:

No cóż...

WÓJT:

Ale najpierw narozrabialiście w Wałbrzychu... Ja panu nawet nie będę opowiadał, jak mi wstyd było za was...

MARCYŚ:

Ależ to nie do końca była nasza wina...

WÓJT:

Nie do końca? Gdyby nie wy, do żadnych burd by nie doszło. I sprzęt by się nie spalił. Wie pan, jakie to są koszty? Cud, że nie my musieliśmy je pokrywać!

(pauza)

Ale ja mam pomysł. Propozycję dla was. Biorąc pod uwagę całą sytuację, propozycję właściwie nie do odrzucenia.

MARCYŚ:

Ukhym... Jaka propozycję?

WÓJT:

Dostajecie z powrotem klucze... ale w zamian za udział w wakacyjnych festynach.

MARCYŚ:

W czym?

WÓJT:

W festynach. Od lipca zaczynamy. Osiem festynów w ciągu wakacji. Pokazy strażackie, loterie, konkursy, kiełbaski, wieczorami ognisko i dyskoteka. I wy zagraacie ludziom do tańca.

MARCYŚ:

My?

WÓJT:

Wy.

MARCYŚ:

Do tańca?

WÓJT:

A czemu nie?

MARCYŚ:

Bo my gramy death metal.

WÓJT:

No tak, to już wiem. Ale niech mi pan w końcu wytłumaczy, co to w zasadzie jest ten wasz death metal, co?

MARCYŚ:

No... gramy głośno i dość szybko...

WÓJT:

Czyli w sam raz do tańca.

MARCYŚ:

Ale...

WÓJT:

Zdaje się, że to ja osobiście załatwiłem wam występ na dożynkach...

MARCYŚ:

No tak.

WÓJT:

A więc co to za różnica – festyn czy dożynki?

MARCYŚ:

Na dożynkach zagramy klasykę rocka. A na festynach trzeba będzie grać coś zupełnie innego.

WÓJT:

No to się jakoś dostosujecie. Za tydzień pierwszy festyn. W Wojkowie. Aha – przed każdym występem bardzo proszę, żebyście się zdystansowali od treści artykułu w gazecie i podkreślili, że jesteście zwykłymi chłopakami z Kochanowa. I że dzięki gminie Kłodzko macie szansę na realizację swoich marzeń. Co chcecie zrobić z pieniędzmi?

MARCYŚ:

Wynajmiemy studio. Nagramy coś i...

WÓJT:

I świetnie. Wasza sprawa, w to się mieszać nie będę. Ale najpierw musicie naprawić to, co zepsuliście. Kiedy gmina daje pieniądze, oczekuje za to wdzięczności.

MARCYŚ:

Czyli jesteśmy pod ścianą.

WÓJT:

Nie mógł pan tego lepiej ująć.

MARCYŚ:

A co będzie, jeśli się nie zgodzimy?

WÓJT:

Co będzie?

MARCYŚ:

Tak. Chcę wiedzieć, jaką mamy alternatywę.

WÓJT:

Alternatywa jest taka: do domu kultury nie macie wstępu dopóki będę wójtem, a mam być zamiar bardzo długo, a stypendium się unieważnia pod byle pretekstem. Jakiś paragraf zawsze się znajdzie.

MARCYŚ:

Żartuje pan.

WÓJT:

Nie. Nic a nic. Chce pan sprawdzić?

MARCYŚ:

No to zajebicie.

SCENA 21

Sala prób w Kochanowskim Domu Kultury

Jak w SCENIE 1. Marcyś na proscenium.

MARCYŚ (do publiczności):

Byłem twardy, nie? Jak prawdziwy death metalowiec. Ale cóż było robić? Powiedzieliśmy „a”, powiedzieliśmy „b”, teraz przyszła pora na resztę alfabetu. Zgodziliśmy się. No i w ten sposób wreszcie dowiedzieliśmy się, co to znaczy prawdziwy kompromis...

(pauza)

Moja żona nie wykazywała współczucia. Madziu, żabeczko, co wtedy powiedziałaś?

GŁOS MAGDY:

Koszt uzyskania dochodu, misiu!

MARCYŚ:

No właśnie. A pan, panie wójcie?

GŁOS WÓJTA:

To mi się podoba, panowie. Wiedziałem, że mi się jeszcze przydadcie.

MARCYŚ *(do publiczności):*

I tak – po tygodniu banicji – znów byliśmy na starych śmieciach. I zaczęliśmy kombinować, co zagrać na festynach. Na dożynki mieliśmy już zrab repertuaru – tę Metallikę, coś Zeppelinów, cover Rolling Stonesów. No, ale na festyn takie numery zupełnie się nie nadają. Bądźmy realistami, do tego się nie da tańczyć. Trzeba było więc pójść w zupełnie innym kierunku...

(pauza)

No i wtedy...

(pauza)

Nie, ja już nie mam siły tyle gadać. Chłopaki! Jaro! Chodźcie tutaj!

Na środek sceny wchodzi Jaromir, a wraz z nim reszta zespołu. Muzycy są lekko zaskoczeni.

MARCYŚ:

Chodźcie, pomożecie mi. Ja już wysiadam.

JAROMIR:

O, lider ustępuje miejsca wyrobnikom.

MARCYŚ:

Makar, opowiadaj ludziom, jak było.

MAKAR *(entuzjastycznie):*

O naszym tourne po festynach? Bardzo chętnie. No więc na początku był Wojków...

JAROMIR:

O Jezus Maria.

MAKAR:

Marcyś przygotował specjalne oświadczenie i od tego zaczynaliśmy każdy koncert. Jak to brzmiało?

MARCYŚ *(niechętnie, z pamięci):*

Jako uprawniony przedstawiciel zespołu Exterminator chciałbym z całą mocą podkreślić, że wbrew opiniom niezyczliwych nam osób nie jesteśmy satanistami. I że serdecznie dziękujemy wójtowi i władzom gminy za wsparcie. Mam nadzieję, że dzisiejszego wieczoru wszyscy będziemy się dobrze bawić.

JAROMIR:

Ma chłopak ten luz, nie? Kabaretony mógłby z Bałtroczykiem prowadzić.

MAKAR:

No i wracając do Wojkova... Gramy pierwszy kawałek... klasyk polskiego rocka...
(do reszty zespołu) Zagramy ludziom? Szybciej załapią.

Muzycy wzruszają ramionami i kupują pomysł Makara. Chwyatają za instrumenty i zaczynają grać utwór „Kocham cię jak Irlandię” zespołu Kobranocka.

W zwrotce Marcyś myli słowa – zamiast „twoich czarnych oczu bliskość”, śpiewa „twoich pięknych oczu bliskość” – Makar w tym samym momencie zatrzymuje zespół.

MAKAR:

Nie dojechalśmy nawet do refrenu. Jak być może państwo zauważyli, kolega pomylił się w tekście. Miało być: twoich czarnych oczu, poszło: twoich pięknych oczu.

MARCYŚ:

Nigdy nie lubiłem tej piosenki.

MAKAR:

Gramy dalej, a tu nagle na scenę wtacza się jakiś pijany koleś i drze ryja.
(wczuwając się w rolę pijanego fana Kobranocki)
Jakich pięknych?! Jakich pięknych?! Ja się na Kobranocce wychowałem, gówniarze, na Jarocin jeździłem, nauczcie się najpierw tekstów, jak chcecie przed ludźmi występować! I znowu doszło do zamieszek, bo gość zaczął szarpać Marcysia, a Marcyś dał mu w mordę.

JAROMIR:

I znowu musieliśmy zwiewać.

MARCYŚ:

Okazało się, że w Wojkowie istnieje cały fan-club Kobranocki. A niektórzy fani Kobranocki interesowali się również baseballlem.

MAKAR:

A tydzień później było Grabowo. Piękna miejscowość.

LIZZY:

Tam też było nieźle.

Muzycy znów chwytają za instrumenty i grają zwrotkę i refren utworu „Every Breath You Take” grupy Police.

MAKAR:

Poszerzyliśmy repertuar, sięgnęliśmy do klasyki zagranicznej i wszystko byłoby ok., gdyby nie fakt, że Marcyś znowu nie spotkał się z odpowiednim uznaniem zgromadzonej publiczności...

LIZZY:

Po prostu na scenę wdarł się lokalny wariat. I odebrał mu mikrofon.

MARCYŚ:

Mogliście przerwać.

MAKAR:

Ale to śmieszne było.

MARCYŚ:

Jak dla kogo.

JAROMIR:

Zostałeś zrecenzowany przez publiczność. Wiem, że to boli, ale krytykę trzeba umieć przyjąć z podniesionym czołem.

MARCYŚ:

Tylko go rozochociliście.

MAKAR:

Faktycznie. Marcyś bał się już kogokolwiek bić, a facet za nic nie dał się spędzić ze sceny po dobroci. No i zaśpiewał z nami wszystko. Pod koniec nieźle się rozkręcił. „Kocham cię kochanie moje” wykonali z Marcysiem w duecie.

(pauza)

A potem był Sokołów. Tam w sumie nic ciekawego się nie działo. Była dobra pogoda, ludzi się zważyło więcej niż dotąd, atmosfera przyjazna...

JAROMIR:

Bardzo przyjazna.

MAKAR:

Tylko, że w przerwie ktoś Jaromirowi ukradł talerze. Wszystkie. Łącznie ze statywami.

JAROMIR:

Gdybym ja dopadł tego gnoja, który mi to zrobił...

MARCYŚ:

Co chcesz, policja jeszcze nie zakończyła poszukiwań.

JAROMIR:

Ale po co komu talerze?

MARCYŚ:

Może wsparłeś jakąś młodą kapelę?

JAROMIR:

Już to widzę. Prędzej ktoś je przerobił na grilla.

MAKAR:

W Sokołowie więcej już nic nie wydarzyło. Zagraliśmy bez talerzy. A Jaromir w każdej przerwie biegał po wsi i straszył miejscową ludność prokuratą.

LIZZY:

Dobrze, że po mordzie nie dostałeś.

MAKAR:

Ale tydzień później pojechaliśmy już do Dobrzanki...

JAROMIR:

Zespół Exterminator upada po raz pierwszy.

LIZZY:

No, to zależy, jak liczyć.

MAKAR:

W zasadzie wolałbym o tym nie mówić, to są zbyt bolesne wspomnienia.

MARCYŚ:

Nie, powiedzmy ludziom prawdę. Powiedzmy wprost, że pod namową publiczności zagraliśmy utwór Chesney'a Hawkesa pod tytułem „The One And Only”, ale w polskiej wersji językowej. I to idzie tak...

Muzycy grają duży fragment pieśni „Typ niepokorny”, spopularyzowanej przez Stachursky'ego.

MARCYŚ:

Tak. Bardzo dobry numer. I wykonanie też nienajgorsze. Moim zdaniem, oczywiście.

MAKAR:

Później były Liszki Górne. Głupia nazwa, ale trudno, taki region.

JAROMIR:

W Liszkach nic się nie działo.

LIZZY:

Normalna sztuka.

JAROMIR:

Rutyna, można powiedzieć.

MAKAR:

Zapomnieliście, że tam po raz pierwszy wykonaliśmy (*śpiewa*) „...Jest już ciemno, ale – wszystko jedno...”.

(milknie spiorunowany wzrokiem Marcysia)

JAROMIR:

No tak. Zespół Exterminator upada po raz drugi.

MARCYŚ:

Potem były jeszcze Budzikowice...

Muzycy chwytają za instrumenty i z obrzydzeniem, ale mimo to brawurowo, grają duży fragment „Kolorowych jarmarków”.

MARCYŚ:

Tak to jest, jak zespół ulega swojej widowni. Traci wtedy własny charakter i zaczyna odcinać kupony od łatwo zdobytej popularności.

LIZZY:

Ale wójt, trzeba przyznać, był już wtedy bardzo z nas zadowolony.

JAROMIR:

O tak, bardzo.

MAKAR:

Gmina zaoszczędziła kupę kasy. Gdyby mieli wynająć jakąś dancingową kapekę, poleciliby na parę tysięcy. A dobra kapela disco-polo kosztowałaby kilkanaście. Przynajmniej. A my byliśmy za darmo.

JAROMIR:

Taki wolontariat po prostu. Grasz o staż.

MAKAR:

A potem pojechaliśmy do Lubartowa. Przedostatni festyn na naszej trasie.

MARCYŚ:

W Lubartowie akurat padało i festyn przeniesiono z boiska do miejscowej świetlicy. No i tam okazało się, że frekwencja jest słaba, kiełbasek nie ma na czym usmażyć, piwa nie dowieźli, więc ludzie się rozeszli...

JAROMIR:

Wtedy na Polsacie leciało coś z Seagalem.

MAKAR:

Ludzie się rozeszli – ale nie wszyscy.

MARCYŚ:

Zostały panie z koła gospodyń wiejskich.

MAKAR:

Jezu, jak się wtedy zaprawiłem. Nawet nie musiałem przypalać.

MARCYŚ:

Ja połowy nie pamiętam.

LIZZY:

Ja też.

JAROMIR:

A ja niestety pamiętam wszystko.

MARCYŚ:

Okazało się, że panie mają wino własnej roboty. Zanim się zorientowaliśmy, już byliśmy w serdecznej komitywie. Rozstawiliśmy sprzęt i przystąpiliśmy do części artystycznej. W doborze repertuaru wykazaliśmy się daleko idącą elastycznością.

Muzycy sięgają po instrumenty i chóralnie odśpiewują refren pieśni biesiadnej pt. „Zachodźże słoneczko”.

JAROMIR:

Zespół Exterminator upada po raz trzeci. I odtąd leży i już nie wstaje.

MARCYŚ:

Po tym mieliśmy już potwornego kaca.

MAKAR:

Faktycznie. Łeb bolał mnie przez dwa dni.

MARCYŚ:

Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o kaca moralnego.

MAKAR:

A tak, tak. Oczywiście.

MARCYŚ:

No właśnie. Bo mówiłem, że metalowcy mają swoje zasady. Mówiłem, prawda? No więc takich zasad nawet nie trzeba nigdzie kodyfikować. Nie występować na festynach, nie grać ludowych przyśpiewek? No, proszę państwa, nikomu nawet nie przyszlaby do głowy taka możliwość. Zanim się zorientowaliśmy, byliśmy na dnie.

(pauza)

No więc właśnie wtedy nasze morale diabli wzięli.

Muzycy przestają szczerzyć zęby i patrzą po sobie ze wstydem. Dłuższa chwila ciszy.

MAKAR:

No fakt.

JAROMIR:

Jak wytrzeźwieliśmy, mieliśmy wszystkiego dosyć.

LIZZY:

Pewne granice zostały jednak przekroczone.

MAKAR:

Bez dwóch zdań.

JAROMIR:

Wpadliśmy w gówna po uszy. Nawet twoja żona przestała się już z nas śmiać.

LIZZY:

Uhm, zaczęła nam współczuć.

JAROMIR:

A to był zły znak.

LIZZY:

Ale z drugiej strony wójt zadzwonił do nas z gratulacjami. Panie z Lubartowa nie mogły się nas nachwalić. Zapraszały nas na dalsze występy.

MARCYŚ:

Tak, wójt był zachwycony. Ale my nie. I kiedy pojechaliśmy na ostatni festyn, do Rogowa, marzyliśmy tylko o jednym – żeby ten koszmar wreszcie się skończył. Żeby było już po dożynkach, żebyśmy mieli kasę, zabukowane studio, no i żebyśmy umieli usunąć z pamięci wszystko, co stało się przez te cholerne wakacje.

JAROMIR:

Ale „Cheri, cheri lady” zagraliśmy tam nawet bez specjalnych oporów.

LIZZY:

I jeszcze coś Markowskiej.

MARCYŚ:

Najgorsze było jednak co innego... Zaraz, czy ja już wspomniałem, że Rogów to rodzinna wioska naszego wójta? Nie? No właśnie. To kluczowa informacja.

JAROMIR:

Zasadnicza.

MARCYŚ:

Mów dalej, Makar, ja nie mogę.

MAKAR:

Co tu dużo gadać, wójt dał w palnik i tyle.

MARCYŚ:

Był u siebie, więc puściły mu wszystkie hamulce. Przyuważył nas, przyszedł, ze dwa razy o mało się nie wypieprzył, i powiedział... Jak powiedział, Makar?

MAKAR *(naśladując pijacki bełkot):*

Zagracie na weselu mojej córki. Tydzień po dożynkach weselico wyprawiam! Mojej

Kasi pierworodnej! Kochane chłopaki!

(już normalnym tonem)

I zaczął mnie całować.

MARCYŚ:

Odjęło nam mowę.

LIZZY:

Ja myślałem, że on żartuje.

MARCYŚ:

Ale nie żartował. Chcieliśmy się wykręcić, ale powiedział, co następuje... Makar?

MAKAR:

Albo gracie, albo gównu ze stypendium.

LIZZY:

Potem myśleliśmy, że jak wytrzeźwieje, to zapomni.

MAKAR:

To ten Lubartów tak nam zaszkodził.

MARCYŚ:

Wszystko nam zaszkodziło. Dostaliśmy w dupę na własne życzenie. Ale tego było już za wiele.

(pauza)

No i w końcu dotarliśmy do dożynek. Miałem, kurwa, swoje urodziny.

JAROMIR:

Wchodzimy na stadion, a tam wielka scena, stragany, karuzele, wystawa maszyn rolniczych, konkurs na najpiękniejszy wieniec... Normalnie cała wieś tańczy i śpiewa.

MARCYŚ:

Mieliśmy nadzieję, że wójt zapomni o swojej propozycji, ale nie zapomniał. Tuż przed koncertem wszystko nam powtórzył. Słowo w słowo.

JAROMIR:

No, gównu zmienił na guzik.

LIZZY:

No to tak na odczepnego, półzartem, spytałem go: za ile to wesele? A on powiedział: Chcecie stypendium, gracie za darmo.

MARCYŚ:

Więc byliśmy wściekli. Naprawdę byliśmy wściekli. I kiedy weszliśmy na scenę...

LIZZY:

Warto tu wspomnieć, że twoje ukochane Kombi wciąż jeszcze nie dojechało.

MAKAR:

Ich techniczni natomiast, owszem, byli na miejscu...

MARCYŚ:

Mieliśmy zacząć od Zeppelinów. Tak planowaliśmy. Ale wyszło inaczej.

*Zaciemnienie. Słysząc niepokojące dźwięki strojonych instrumentów.
Gwizd w głośnikach. Złowieszcze buczenie.*

Stopniowe rozjaśnienie. Rozbłyskują kolorowe światła jak na prawdziwym koncercie rockowym, muzycy stoją na scenie w pozach charakterystycznych dla muzyków metalowych. Z głośników syczy się niepokojące, mroczne intro.

MARCYŚ *(na tle intra):*

Patrzemy w dół, na pierwsze rzędy i widzimy wójta, w towarzystwie tych wszystkich pajaców z województwa i starostwa. A ten nam jeszcze macha, skubany, i klaszcze... I wiemy już, że żadnego Led Zeppelin tu nie będzie. Że przyszła taka chwila, kiedy trzeba dać komuś w mordę. I że wreszcie zagramy coś swojego.

Jaromir odlicza rytm na hi-hacie – po sekundzie słysząc ogłuszający łomot perkusji i potężne, przesterowane gitary. Muzycy zaczynają kręcić młynki włosami, Marcyś podbiega do mikrofonu i ryczy: Jesteśmy Exterminator! AAARRRGGGHH!!!”, na scenie rozpętuje się prawdziwe death metalowe piekło. Światła pulsują nerwowo – jest jak na profesjonalnym deathmetalowym koncercie. Muzycy grają niedługi, stosunkowo wolny, przygniatający, miążdżący słuchaczy i – co najważniejsze – autentycznie deathmetalowy utwór.

MARCYŚ:

O, właśnie to jest death metal. Mówiłem, że jak przyjdzie czas, to się dowiecie. To był nasz kawałek „In The Mountains Of Madness”

JAROMIR:

Czyli „W górach szaleństwa”. Mój tekst.

MARCYŚ:

I co potem? Wiocha stoi jak zamurowana, szanowni goście rozdziawiają gęby, ksiądz szuka kropidła, a na nas biegnie wójt i macha rękami...

LIZZY:

...że jesteśmy załatwieni, że gównem nie stypendium!

MARCYŚ:

...a chwilę później dopada nas Magda...
(odwracając się w stronę kulis)
No chodź tu, chodź. Nie wstydź się...

Na scenie pojawia się Magda i cmoka Marcysia w policzek.

JAROMIR:

Jezu, dajcie już sobie spokój...

MAKAR:

No właśnie. Wtedy też zaczęli się całować... Przy ludziach.

JAROMIR:

Straszna żenada.

MAGDA:

Wiecie przecież, że laski lecą na muzyków.

JAROMIR:

Laski. Nie żony.

LIZZY:

No i ci się całują, stadion wyje, zaraz na scenę wejdzie Kombi, a tu nagle koło nas pojawia się jakiś zziązany facet...

JAROMIR:

Długie włosy, bojówki...

LIZZY:

I koszulka...

MAKAR:

Koszulka z logo Aggressor.

MARCYŚ:

Tej kapeli, z którą mieliśmy wtedy jechać na trasę...

JAROMIR:

Wtedy, kiedy wymiękłeś.

MARCYŚ:

Nie wymiękłem.

MAGDA (do Marcysia):

Wymiękłeś. Wiedziałeś, że chłopaki nie będą się dopytywać, bo leżałam na ginekologii. A to był banalny zabieg. Usunięcie cysty...

MAKAR:

Jezu, Magda, przestań...

JAROMIR:

Nie przy jedzeniu...

MAGDA:

Jakby mi, nie wiem, nowotwór usuwali. Ten mój zabieg, to był tylko pretekst, żeby nie jechać w tę trasę.

MARCYŚ (po chwili niezręcznej ciszy, niechętnie):

No dobra, może masz trochę racji.

MAGDA:

Trochę!

JAROMIR:

O, proszę, i tak wszystko powoli się kończy pięknym nappy endem... Wreszcie wyjaśniliście sobie parę spraw...

MAKAR:

Nic się nie kończy. Dawaj dalej, Lizzy. No, o tym, jak to było z tym gościem... Z Jackiem...

LIZZY:

Z Jackiem? Aha! No tak. Zgubiłem wątek. Wyobraźcie sobie, lider Aggressor! U nas w Kochanowie, na dożynkach!

JAROMIR:

Teraz robił dla Kombii, był ich technicznym. Jego kapela mocno podupadła, coś tam niby grali, ale słyhać o nich było mało. I teraz się okazuje, że nasz stary kolega od paru lat nosi gitarę za Skawińskim.

LIZZY:

...A jak zobaczył nas na scenie to mu opadła szczęka. I mówi: „Kurde, panowie, nie wierzę własnym oczom. To wy? Akurat mamy nowy kontrakt, Aggressor wraca na scenę. Za miesiąc jedziemy w trasę. I wy, kurde balans, jedziecie z nami”.

JAROMIR:

Zaniemówiliśmy normalnie.

MAKAR:

Co się odwlecze, to jednak nie uciecze.

JAROMIR:

Dokładnie.

LIZZY:

Ale jest jakaś sprawiedliwość dziejowa, nie! A kto wam mówił, że trzeba się postarać na dożynkach? No kto?

MAGDA:

A kto wam przekonał męża, żeby nie zostawiał kapeli?

MARCYŚ:

I kto tak pięknie zaśpiewał, hę?

JAROMIR:

A kto tak precyzyjnie bębnił, co? Przecież perkusja to jest szkielet każdego utworu...

MAKAR:

A od kogo się to wszystko w ogóle zaczęło, co?

Muzycy przybijają „piątki” – nawet z Magdą – poklepują się po plecach itd.

MARCYŚ (do publiczności):

Stypendium pewnie nie dostaniemy, ale co tam – za dwa miesiące jedziemy w trasę z Aggressorem!!! Trzeba zacząć próby, żeby nie dać plamy...

MAGDA (wieszając się na Marcysiowej szyi):

Mój ty kochany, metalowy misiu...

MARCYŚ (udając irytację):

Precz, kobieto...

MAKAR:

Jezu, to obrzydliwe.

Zaciemnienie.

Punktowy reflektor na proscenium, gdzie pojawia się nagle Marcyś-Junior.

MARCYŚ-JUNIOR (do publiczności, „po dorostemu”):

Fantastyczne perspektywy na przyszłość. Normalnie nie mogę się doczekać!

Nagle zaciemnienie i –

KURTYNA

